

Kronika tygodniowa.

W poprzednim numerze głębszej polityki nie poruszałem wcale, nie tyle może z powodu braku miejsca, zwłaszcza, iż Redakcja ofiarowała mi wspaiałością o całą jedną kolumnę więcej, niż zwykle, bym się mógł bodaj raz w roku należycie wygadać, ile raczej ze względu na zdrowie P. T. Czytelników. Zrezygnowałem więc z rozszerzenia kroniki, wychodząc z tej zasady, że zdrowie ogółu powinno się mieć przedewszystkiem na oku, a dziś polityka, zwłaszcza ta, tak zwana głębsza, psuje tylko krew i humor. Niechaj więc tydzień świetlany będzie spokojny, niechaj głowa nie pracuje, siłąc się na różne kombinacje, które i tak się nie spełnią, skoro i żołądek urządzi bezrobocie.

Po tym wstępie przechodzę odrazu do właściwej rzeczy, czyli do tak zwanego porządku dziennego, na którym jest przedewszystkiem dyskusja *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, nie wykluczając naturalnie i innych spraw, o ile naturalnie starczy na nie miejsca. Muszę jednak zaznaczyć, że poruszę tematy, może trochę nieświeże, ale nie moja w tem wina, lecz drukarni, która każe kronikę na przyszły tydzień pisać już w Wielki Piątek, gdy człowiek, nie dostawszy nadto w domu obiadu, jest bardzo żałośnie usposobiony i „chadza, jako ów lew po pustyni, nie wiedzący, kogoby pożarł”. A i lwy są teraz w kłopotach!... Są, jak wiadomo mięsożercami, roślinnym pokarmem się nie żywiąc. *eo ipso* więc we wtorki (chyba, że wypadnie im pod rękę jaki baran) i w piątki muszą cierpieć głód, o ile nie chcą się narazić na odpowiedzialność i karę pieniężną aż do pięciu tysięcy koron, ewentualnie nawet na odebranie uprawnienia do prowadzenia przedsiębiorstwa. Nie jest kronikarz zresztą poetą, by mógł przewidzieć, jak spędzi święta i podać to do wiadomości ogółu.

Dawniej, po inne lata, nawet jeszcze rok temu, w Wielki Piątek w naszych handelkach panował ruch ożywiony. Nie znalazłeś miejsca, gdzie możnaby głową skłonić, by w domu swą osobą nie sprawić kłopotu. Dziś zmieniło się wszystko. W knajpce pustki, w domu cicho. Tradycja każe iść na śledzia, idzie też człowiek i za koronę i pięćdziesiąt halerzy otrzymuje coś, co się wprawdzie nazywa śledziem, ale wzrostem przypomina średniej wielkości sardynkę. Gdy się upomnisz o swą krzywdę, dowiadujesz się, że to zastrzona wojna łodiami podwodnymi tak ujemnie na śledzie wpłynęła (o czem zresztą już z okazji Popielca na tem miejscu wspominałem) i że wogóle powinniśmy być zadowoleni, że jeszcze mamy śledzie, które, jako małe i ściśle neutralne, nie mogą nikomu zaszkodzić. Na rybkę, n. p. karpia w galarecie, lub po polsku, pozwolić sobie trudno. Ze względu na wygórowaną cenę (cztery korony), potrawa ta dostępną jest jedynie dla milionerów, lub kamieniczników (nie obdłużonych). Ci ostatni, ze względu na zmianę kwartału mają dziś „hopy”, mogą więc pływać, niczem „pączek w maśle”. I to wyrażenie jest karygodnem, po pierwsze bowiem pączki są obecnie ustawowo zakazane, nie wolno także smażyć ich na maśle, ani na smalcu, wazelinę zaś w tym celu nie nauczyliśmy się jeszcze używać. Ponadto niema czem zwilżyć gardła. Liwa dostanie się dopiero o siódmej wieczór, a trudno „na sucho” tak długo czekać, zresztą i ono zdrożało znowu o cztery halerze na szklance, a pić wino, to zbytek i poprostu zbrodnia wobec własnej kieszeni. W normalnych czasach, w chwili takiego zwątpienia, wyciągało się z kieszeni cygaro i puszczało wonne dymki, dziś i na to nie można sobie pozwolić, gdyż ograniczono wydawanie przetworów tytoniowych prawie do *minimum*. Trafikanci urządzają przez cały tydzień bezrobocie i ogładają się za innym jakim zarobkiem, ogonki przed trafikami zamarniały i należą już do tradycji.

Zważywszy te wszystkie okoliczności, które powyżej przytoczyłem, przyzna mi każdy chyba, że nie jest bynajmniej przyjemnością być dziś kronikarzem i wybaczy mi, że sprawozdanie, jak spędziłem święta Wielkanocne, odłożyć muszę do przyszłego numeru. Zaznaczę tylko, iż Wielką Sobotę przeznaczyłem na zwiedzanie grobów, Wielką Niedzielę na wypoczynek i rozmyślanie, jak w roku ubiegłym smakowała mi szynka, poniedziałek na odwiedzenie znajomych na Zwierzynie, by zebrać garść wrażeń z „Emausu”, wtorek zaś na wycieczkę na Podgórze, choć „Rękawki” prawdopodobnie nie będzie. Te dwa ostatnie punkty porządku, niech się nazywa, dziennego, mogą bardzo łatwo odpaść. Znosi się bowiem na nie pogodę. Przepowiada to i barometr i moje kolana, a nadto twierdzenie ludzi starej daty, którzy utrzymują, że musi deszcz padać, ilekroć nasze święta zejda się z żydowskimi. Przy tej sposobności muszę nadmienić, iż ze strony kompetentnej zwrócono moją uwagę, że minąłem się z prawdą, pisząc, iż Izraelici dostali na święta

Paschy białą macę, gdyż jest ona w tym roku brunetką, pozatem narzekano, że rozdzielono ją w bardzo skąpych ilościach, gdyż zaledwie po sześćdziesiąt dekagramów na głowę. Odpowiedziałem słowami pana fizyka: „Mimo przeciwności nie należy nigdy upadać na duchu”.

Jak tam moja Weronisia urządzi się na święta, tego nie wiem dotąd, myślę przecież, że czułe jej serce nie pozwoli jej zapomnieć o mym żołądku, choć z drugiej znow strony źle mam przecucie, gdyż nie żądała, jak po inne lata, żadnych nadzwyczajnych kredytów, a wątpię, by rozporządzała jakimi oszczędnościami, o których nie wiedziałbym. Zobaczmy zresztą, jak to będzie.

Z konieczności więc, nie mogąc o czem innem pisać, muszę się zabrać do polityki, na pierwszym miejscu wyrażając uznanie nieboszczce pani de Thébés, której ostatnia przepowiednia już się częściowo spełniła. W łabędzim swym śpiewie, to jest w przepowiedniach na rok bieżący, wyraziła się paryska wieszczka w sposób następujący:

„W marcu nastąpi w Europie gwałtowny przewrót. Jeżeli nie zakończy on wojny, to skończy się ona we wrześniu, a zakończy ją głód. Potężny władca utraci państwo. Los wskazuje na osobę cesarską. Nie widzę znaku zwycięstwa na jego hełmie”.

Francuzi byli przekonani, że miała ona na myśli Niemcy, teraz widzą, iż się pomylili, choć car Mikołaj chodzi zwykle w czapce, nie w hełmie. Marzec się skończył, on stracił państwo, końca wojny przecież jeszcze nie widać, musimy więc cierpliwie czekać znowu aż do września, ale chyba, zwłaszcza w czasie tej wojny, mieliśmy już dość okazyi do nauczania się cierpliwości. Nie przyjdzie nam to więc zbyt trudno. — Wogóle w ostatnich latach wyćwiczyliśmy się już w tylu cnotach, że każdy z nas może się śmiało uważać za kandydata do nieba. Czyścić i piekło (z powodu braku węgla słabiej, niż dawniej, opalane) będą świecić pustkami, chyba że przeprowadzi się tam z urzędu kolonizację, a kandydatów można będzie znaleźć dosyć między n. p. różnymi spekulantami, robiącymi dziś na biedzie bliźnich brylantowe interesy. Podobno magistrat przygotowuje już spis osób, mających w tamte strony być skierowanymi na przymusową „ewakuację”.

Co do rewolucyi rosyjskiej, to jeszcze dziś nie wiemy nic pewnego, co się tam właściwie dzieje, wszelkie bowiem wiadomości stamtąd przechodzą przez angielską cenzurę, a ta przepuszcza tylko to, co jej się podoba. Raz czytamy, że car znajduje się w Carskim Siole pod strażą angielskich oficerów i stąd ma być przewieziony do Anglii, inne telegramy podają, że wraz z rodziną umieszczono go w twierdzy Petropawłowskiej. Tu i ówdzie spotyka się ze wzmiankami o kontrrewolucyi na korzyść dawnego porządku, ile jednak na tem lub na owem prawdy, tego nikt nie wie, choć wszyscy o tem mówią i tem się głównie zajmują. Wystarczy powiedzieć, że właściwie pierwsze pozytywne wiadomości doszły nas z pism polskich, podających sprawozdania z mów Miliukowa i Kiereńskiego, wygłoszonych w Petersburgu jeszcze w dniu 16-go marca wobec zgromadzonych żołnierzy i obywateli. Miliukow wyraził się mial, iż „rząd runął do błota, z którym był spokrewniony”. Pokojowo nie był on wcale usposobiony, zaznaczył bowiem wyraźnie:

„Rząd obaliliśmy łatwo i szybko, nie jest to jednak wszystko, co uczynić należy. Pozostaje jeszcze druga połowa sprawy, najważniejsza — utrzymanie w rękę naszym zwycięstwa, które osiągnęliśmy tak łatwo”.

Słowa te odnoszą się wprawdzie do stosunków wewnętrznych, kilkakrotnie przecież tak Miliukow, jak i Kiereński, który oświadczył, że „wszedłszy do składu rządu pozostał republikaninem i rzecznikiem demokracji”, napomknęli wyraźnie, że wierzą i w zewnętrzne zwycięstwo, które jest prawie pewnem, gdyż ufają armii, że ona będzie silną przez swą jedność wewnętrzną i potrafi stawić czoło wrogowi. Czy się nie łudzą, przyszłość okaże, zwłaszcza, że muszą tak tańczyć, jak im Anglia zagra, z drugiej zaś strony nie można jeszcze przewidzieć, jakie rozmiary przybierze a może i już przybrał ogień, podłożony pod stopnie tronu carów przez pana Buchanana z polecenia swego rządu. A nuż wiatr zawieje z przeciwnej strony i wbrew oczekiwaniom i przerzuci go tam, gdzie mieć by go nie chcieli?... W tej wojnie tyle już przeżyliśmy niespodzianek, iż jedna mniej lub więcej różnicy nikomu nie robi, choć łatwo bardzo może zepsuć kombinacje angielskie.

Jeśliby jednak Rosya miała rzeczywiście zamiar prowadzić dalej wojnę, nie możnaby się spodziewać pokoju nawet i na wrzesień, a zbyt wiele mam zaufania do ś. p. pani de Thébés, by przypuścić, iż się znowu omyliła.

Pewniejsze wiadomości mamy natomiast z Ameryki, skąd donoszą, iż stało się wreszcie zadość woli pana Wilsona. Senat ośmdziesięciu dwu głosami prze-

ciw sześciu przyjął rezolucję, uznającą stan wojenny z Niemcami za istniejący, a Izba reprezentantów uchwaliła, że dyskusya nad wnioskiem wojennym ma się rozpocząć we czwartek o godzinie dziewiętej rano. — Izba tak długo pozostaje w permanencyi, aż wniosek będzie przyjęty, co, według zapewnień, nie ulega żadnej wątpliwości.

Stało się więc, co się stać miało. Właśnie na wiosnę wypierzył się anioł pokoju (pan Wilson) i przyoblekł się w nowe piórka, nastrój wojenny wzmógł się w Stanach Zjednoczonych do niebywałych rozmiarów. Ameryka nie pozostanie bezczynną, podsekretarz departamentu marynarki oświadczył, iż wydano już zarządzenia co do natychmiastowego współdziałania z Anglią i Francją, oczekują też rozpisania nowych podatków i kredytów wojennych.

Przecierpieliśmy już tyle, damy sobie może i z tem radę. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby tak pan Wilson wyszedł na tej imprezie „jak Zabłocki na mydle”, a należałaby mu się słusznie taka nagroda za jego postępowanie.

Im dokładniej studyuję politykę i dyplomację, tem większego nabieram do nich obrzydzenia i dziękuję nieraz Panu Bogu, że jestem tylko kronikarzem, który walczy piórem i może nawymyślać temu i owemu, nie potrzebując się obawiać, iż będzie to powodem wojny. Na swą pochwałę dodam, iż od początku wojny ogłosiłem swą neutralność i dotąd się jej nie sprzeniewierzyłem, ale ja już jestem taki, iż nie łamię nigdy raz danego słowa. Może to potwierdzić moja lepsza połowa, czcigodna Weronisia, której nie zdradziłem dotąd nawet myślą ni mową, nie mówiąc już uczynkiem, zresztą ona na to nie pozwoliłaby wcale i... obojgu nam z tem dobrze. Spokój paauje między nami od najdawniejszych czasów — nie wiemy nawet, co to jest tak zwana „stopa wojenna”, której nie powinno znać kochające się, jak my, małżeństwo. Narzekamy czasem jedno na drugie, ale to tylko tak z przyzwyczajenia. pokłócimy się też niekiedy, ale to tylko w myśl przysłowia: „Kto się lubi, ten się czubi”. Wiedzie nam się też dobrze, niebiosia nam błogosławia, a świat nas ceni i szanuje, czego i P. T. Czytelnikom życzyć z całego serca.

Politykę zajmuję się więc tylko z konieczności, by nie psuć niepotrzebnie krwi ani sobie, ani innym i myślę, że za złe nie wezmą mi tego Czytelnicy, którzy o sprawach najważniejszych mogą się dowiedzieć prędzej z telegramów pism codziennych, a chyba niema nikogo, kto by ograniczał się na lekturze jedynie „Nowości illustrowanych”.

Ze spraw, z wojną bodaj pośredni związek mających, poruszyć muszę sprawę Dra Kranza, o której w ubiegłym tygodniu dużo pisano, a jeszcze więcej mówiono, zwłaszcza w kołach, zajmujących się dostawami dla armii. Zdania były podzielone. Jedni utrzymywali, iż pan Dr. Kranz jest niewinny, niczem dziecko, które się jeszcze nie narodziło, inni natomiast byli zdania zupełnie przeciwnego. Gdy ogłoszono wyrok, nad losem skazanego ubolewali zwłaszcza ci, którzy wyznają zasadę, iż „słodko jest dostawiać dla ojczyzny”, gdyż mimowoli przychodziło im na myśl „co dziś tobie, jutro mnie!...” Druga, przeciwna partya skomponowała nawet przysłowie, wyszedł jak Kranz na piwie”.

Wiele hałasu, wprawdzie tylko lokalnego, nie światowego, narobiło w Warszawie przymusowe golenie bród żydowskim ortodoksom. Działo się to ze względów higieny, prasa jednak warszawska, zwłaszcza żargonowa, zatrafiła na alarm, nie mniejszy, jak wówczas, gdy chodziło o odrutowanie Warszawy ze względów rytualnych. Rozpoczęły się pertraktacje między kandydatami do ogolenia i milicyą, które jednak dotąd nie doprowadziły do rozstrzygnięcia sprawy. Zarząd milicyi zgadza się, by od ogolenia brody „w drodze urzędowej” chronił świadectwo lekarza dzielnicowego, które ma walor trzechniowy i obiecuje przy tej bezbolesnej operacji nawet interwencję wyższego urzędnika, owi „kandydaci” żądają, by świadectwo mógł wystawić felczer, fachowiec w goleniu brody i ocenianiu o jej czystości i by ono miało ważność cały miesiąc. Jak się ta pierwszorzędnego znaczenia sprawa zakończy, dotąd nie wiadomo. W każdym razie żądają „ogolenia” zwrotu włosów, które są przecież ich własnością i mogą być użyte n. p. do napychania materaków.

(Apetyt powstał) przez ułatwienie przemiany materii. Kto cierpi na zatwardzenie, niechaj używ. Felera łagodnie przeczyszczających pigulek rumbarbarowych z marką „Elzapigulki”, które ułatwiają trawienie. Ceny pokojowe: 6 pudełek franko kosztuje tylko 4 K 40 h u aptekarza E. V. FELLERA, Stubica, plac Elzy Nr 127 (Kroacia). Wielu lekarzy zaleca je. 100.000 listów dziękczynnych. (ve)

Felera

Krem do zębów

Woda do ust